

## Rozdział czwarty

KOTLINA falowała, bliżej gór poprzecinana utworami kredowymi i wapiennymi. Świeciło słońce. Jej pojazd miękko sunął, bez najmniejszych wstrząsów, nie stykając się z podłożem, od którego oddzielała go poduszka wibrującego powietrza. Ni omijała kuszące zielone zagajniki, pełne zakamarków, nieznanymi roślin, paproci, mchów i grzybów. Mogły okazać się dla niej niebezpieczne, bowiem jeszcze nie rozszyfrowała wszystkich tajemnic tej dzikiej planety. Nie miała wprawdzie złych przeczuć, tym niemniej rutyna zwiadowcy brała w niej górę. Płynąc ślizgaczem w ślimaczym tempie i z pozoru bez celu, była w stanie dokładnie obejrzeć okolice kosmicznego kolosa i wbić sobie w pamięć mapę obcych terenów.

W pobliżu nie było nikogo z tutejszych. Nie plątał się tu żaden dwunożny. Jednak z pewnością kryli się gdzieś dalej, nie chcąc się na razie ujawniać. Trafnie założyła, że mieszkańcy kotliny nie przeoczyli katastrofy niebiańskiego rydwanu. Przypuszczalnie przyczaili się i warowali, czekając na to, co jeszcze się wydarzy. Zatem na ich kontruuderzenie było za wcześnie. Tak sądząc, na razie nie musiała przejmować się zagrożeniem z ich strony.

Poprowadziła ślizgacz wzdłuż linii lasu. Gęsty bór szpilkowy mieszał się z drzewostanem liściastym, rosły tu dęby, graby, jesiony, lipy i brzozy. Szczególnie podobały się jej te ostatnie, cieszące oczy bielą kory.

Przebudzenie, po nocy spędzonej w kabinie ślizgacza, nie było dla niej wielkim wstrząsem. Przyjęła nową fizys ze spokojem, bez paniki i spazmów, a nawet z odrobiną satysfakcji. Nie dziwiła się swoim rękom i nogom, włosom i twarzy. O wiele większego szoku doznała zaraz po katastrofie, zmuszona w samotności oglądać jej straszliwe skutki. To, co stało się z jej posturą — w porównaniu

z tamtymi chwilami — wydawało się jej czymś znacznie łatwiejszym do strawienia. Ponadto miało swoje dobre strony. Nowe smukłe ciało uznała z namysłem za prawdziwy dar przeznaczenia. Stanowiło element niezbędnego kamuflażu. Odczuwała niewymowną ulgę, mając świadomość tego, że nie różni się wyglądem od tutejszych wojów i pastuchów, ich połowic i pociech. Mogła wtopić się w tło, rozpułnąć się między tubylcami, ukryć prawdziwe pochodzenie i stać się niejako częstką lokalnego pejzażu. Liczyła na to, że jej się powiedzie i miała nadzieję, że się nie rozczaruje. Nie mogła walczyć z gatunkiem, który niepodzielnie władał tą planetą. Sztuka pozorowania — jak to z rozważą oceniała — była w jej przypadku sztuką przetrwania.

Zawróciła transportowiec, chcąc dotrzeć do wypływającego z gór strumienia. Maszyna z szelestem otarła się o młodnik z królującymi w nim brzozami, wypłaszając dwa szaraki. Pomknęły jak wypuszczone z procy. Nie zauważyła drobnych czworonogów, gdyż myślami była znowu w kosmosie, a ściśle biorąc w przytulnej kabine, którą zajmowała z przemiłą Li-o. Wspomnienia nieodparcie powracały, nie pozwalając wymazać przeszłości.

„Wiesz, kochana?! Tubylcy na Y-o wcale nie są obrzydliwi. Cóż z tego, że nie mają ogonów? I że są pozbawieni sierści? — Ni zwierzała się najbliższej przyjaciółce, biorąc ich w obronę. — Nasi bracia przesadzają, nazywając ich wyliniałymi bezmózgowcami. Chociaż wydają się wybrykiem natury, ewolucyjnie oddaleni od świata fauny, to jednak mają w sobie coś fascynującego — szeptała w największej tajemnicy. — Zdradzę ci to, czego za nic w świecie nie odważyłabym się głośno powiedzieć w sterowni. Chcę być y-ocką ślicznotką — jak te, z ekranów. Mieć taką delikatną i gładką cerę... Chcę, chcę, chcę! Nie sądzisz, że tutejsze podlotki górują nad nami urodą?”

Pozbawione sierści, nagie y-ockie ciała nie odpychały jej i nie budziły w niej niechęci. Natura wyposażyła bowiem wrażliwą i delikatną skórę ludzką w ogromną ilość miejsc erogennych. I to było jej koronnym atutem. Widziała na ekranach, z jaką rozkoszą młodzi tubylcy spółkują i z lekka im zazdrościła. Z tak szeroką gamą pieszczot erotycznych nigdy wcześniej się nie zetknęła. Jako samica mia-

ła świadomość tego, że urchickie rytuały miłosne przegrywają z yockimi. Trudno jednak było szermować tym wstydliwym argumentem na pokładach „Met-ar-usa”. Tam do głosu dochodził męski punkt widzenia.

Li-o nie dziwiło jej stanowisko. Myślały podobnie i znajdowały wspólny język w wielu sprawach. Uśmiechała się i przytakiwała, dając do zrozumienia, że przyznaje jej rację. „Nasi druhowie wprowadzają metamorfozę do tego, co fizyczne, dlatego nie dostrzegają jej wymiaru duchowego — dopowiadała, idąc tokiem myślenia Ni. — A moim zdaniem proces adaptacji już trwa — perorowała z przejęciem. — Rozpoczął się na obrzeżach tego układu solarnego. Psychicznie stajemy się Y-otami, czy tego chcemy, czy nie. Nawet jeśli sobie z tego kpimy. Ta błękitna planeta przejawia dziwną moc i silnie emanuje. Przyzywa nas do siebie, nieomal woła do nas po imieniu. Wkrada się w nasze sny, a jej szept dociera do ukrytych zakamarków statku!”

Słońce było wysoko i Ni poczuła, że jest głodna. Burczało jej w żołądku. Właściwie temu się nie dziwiła, gdyż od chwili katastrofy niczego nie jadła. Nie mogła myśleć o czymś tak trywialnym jak pożywienie, gdy jej życie było zagrożone, a cała przyszłość stała pod znakiem zapytania. Przegoniła ciepłe wspomnienia, które odrywały ją od smutnej rzeczywistości i westchnęła z żalem. Nigdy więcej nie miała ujrzeć słodkiej jak cukierek Li-o, ani z nią poszeptać po ciemku o tym, co nurtowało wybranych, tworzących niewielką społeczność kosmicznego kolosa. Zmniejszyła prędkość. Ślizgacz opadł, ocierając się o zieloną murawę i znacząc za sobą trzy równoległe bruzdy. Wreszcie maszyna się zatrzymała. Ni zgrabnie wyskoczyła z kabiny.

Powietrze było rześkie i świeże. Stała nieruchomo jak posąg, głęboko oddychając. Słońce przeświecało przez przysłaniające błękit białe obłoki, a złote promienie odbijały się tysiącami iskier od pancerza maszyny. Krążyły wokół niej muchy, pszczoły i osy. Rozróżniała je, ale nie umiała ich nazwać. Kolorowe motyle bezszelestnie trzepotały skrzydełkami. Czuła się dziwnie zespolona z tętniącą życiem przyrodą planety. Pas z przypiętym miotaczem był za luźny i musiała go skrócić. Usłyszała szum strumienia. Poszła w tamtą

stronę, zanurzając się w chłodnej gęstwinie krzewów. Odgoniła głośnego trzmiela. Ciekawie się rozglądała, szukając czegoś, co odpowiadałoby podniebieniu istoty z Y-o. Czarne jagody robiły wrażenie apetycznych, zerwała więc kilka i wrzuciła sobie do ust. Okazały się strasznie gorzkie i krzywiąc się z niesmakiem je wypluła. Dotarła do potoku i z ulgą rozprostowała ramiona.

Wrażenie bezpieczeństwa okazało się złudne. Kryjący się wyżej zwinny drapieżnik zniecka zeskoczył z drzewa, pod którym się znalazła, powalając ją na ziemię. Uratował ją solidny kombinezon, który włożyła poprzedniego dnia. Ostre kły wbiły się w materiał kołnierza. Krzyknęła, padając pod uderzeniem sprężystego ciała. Tuż obok wyrwał się w górę łomoczący skrzydłami wypłoszony szary ptak. Gibki koci napastnik puścił jednak zdobycz, z charakterem odskakując. Wykorzystała ten moment. Błyskawicznie wykonała półobrót i z pozycji półleżącej wypaliła do ssaka. Strumień białego ognia rozorał pokrytą futrem skórę agresora, a pobliskie krzewy zaskwierczały od żaru.

— Giń, potworze! — syknęła z nienawiścią. — Nic ci do mnie!

Potem usiłowała się opanować. Ciężko dyszała. Cóż takiego zaniepokoiło napastliwe zwierzę, że zrezygnowało ze zdobyczy? Od razu to odkryła. Wyczuło, że zadrżała ziemia. I ona po strzale odczuła narastający dygot gruntu. Niedaleko od niej załamało się podłoże, zaś w powstałą szczelinę walały się z trzaskiem drzewa.

— Co to?! Trzęsienie ziemi? Nie! — zaskomlała. — Niemożliwe! Czary?!

Siedziała jak sparaliżowana, nie mogąc ruszyć się z miejsca. Iluzoryczna wiara w życzliwość tej planety opuściła ją bezpowrotnie. Czar Y-o rozprysł się jak bańka mydlana. Pomyślała z trwogą o ślizgaczu, obawiając się, że go straciła. Odniosła wrażenie, że nie jest już sobą i że szamocze się w niej pragnąca uwolnienia okrutna bestia. Głębsza część jej natury domagała się porzucenia y-ockiej postury i ucieczki do pierwotnych kształtów — jednak nie urchickich, lecz dużo wcześniejszych, przeraźliwie dzikich i nienawistnych.

Wreszcie wstała. Dygot gruntu szybko ustał. Dla pewności je-

szcze raz strzeliła do dzikiego kota, tym razem zmniejszając siłę rażenia. Potem przyjrzała się mu z bliska i doszła do wniosku, że wcale nie był taki groźny. Strach miał wielkie oczy. Pewnie zazwyczaj polował na dużo mniejsze okazy.

Poruszyła szyją, czując narastający ból. Spływała jej krew z pociętego pazurami karku, ale rany były powierzchowne. Właściwie drapieжник pozostawił tylko zadrapania. Gdyby nadal była grzywaczem, uratowałaby ją potężna grzywa. Powoli schowała broń, starając się spojrzeć z dystansu na to niespodziewane starcie i dostrzec jego jaśniejsze strony. Oto zrzędzeniem losu przypadkowa ofiara przeistoczyła się nagle w myśliwego. Role znienacka się odwróciły i Ni zwyciężyła w krótkiej bezlitosnej potyczce. Dlaczego jednak w momencie ataku ziemia pękła jak skorupa jaja? Niepojęty zbieg okoliczności? Cud? Czyżby po raz kolejny w życiu miała niewytłumaczalne szczęście? Wyjrzała z lasu, ale ślizgacz stał tam, gdzie go zostawiła. Pojęła, że trzęsienie ziemi miało niewielki zasięg, co ją jeszcze bardziej zdziwiło. Może zawiniła gigantyczna podziemna roślina, której korzenie rozrastały się w ogromnym tempie?

Powoli wracał jej spokój, poczuła znowu znajome ssanie w żołądku, więc wróciła i pochyliła się nad upolowanym zwierzęciem, medytując się nad tym, czy jego mięso jest jadalne. Mignęła jej przed oczyma seria obrazów z tubylczej wioski, w której dzierżący dzidy ciemnoskórzy Y-oci otaczali zawieszoną nad paleniskiem półtuszę. Musiała upiec zdobycz. Coś jej mówiło, że w okazach tego gatunku tubylcy nie gustują, ale nie miała wyboru. Nastawiona na wąski i krótki strumień broń działała jak ostry miecz. Bez ceregieli obdarła łup ze skóry. Potem rozejrzała się za suchym drewnem. Zbierając patyki przepłoszyła sporego węża, który schronił się w zaroślach. Słońce było w zenicie, kiedy kończyła pierwszą na Ziemi prymitywną ucztę, dziwiąc się nieznanym wcześniej odruchom, które w niej się wyzwały. Pieczone mięso bez przypraw było niespecjalnie smaczne, ale nie wybrzydzała. Resztę pozostawiła krążącym nad drzewami ptakom, gasząc pragnienie wodą ze strumienia. Zdawała sobie sprawę z tego, że postępuje jak godny pogardy barbarzyńca, lecz tym się nie przejmowała.

Zbadała skutki wstrząsu, który targnął gruntem. Była to erupcja o zdumiewająco ograniczonym zasięgu. Jakby ziemia pod nią żyła własnym organicznym życiem lub zamieszkiwały jej głębie potężne krecie stworzenia. Sporawa szczelina ciągnęła się łukiem, znacząc teren na odcinku mniej więcej takim jak średnica „Met-ar-usa”. Nie rozumiała, dlaczego podłoże gwałtownie się poruszyło i to właśnie w tak ważkiej dla niej chwili. Poszła wzdłuż strumienia. Znalazła cichą zatoczkę, a tam przejrzała się w zwierciadle stojącej wody. Ciemnogranatowy kombinezon, który w obawie przed nowymi atakami instynktownie zaciągnęła pod szyję, kontrastował z jej jasną cerą i słomianymi włosami.

— Ani cienia wątpliwości. Jestem stąd, z Y-o — niewzruszenie poinstruowała swoje odbicie.

Potem zebrało się jej na płacz. Nieruchomo stała nad źródłem, kontemplując skutki przeobrażenia, a z jej oczu zaczęły spływać łzy. Li-o zdawała się ją słyszeć. „Musiś, kochana, do końca rozstać się z Urch — ledwo słyszalnym szeptem podpowiadała jej z zaświatów. — Zerwać wszystkie więzi, ostatecznie i bezpowrotnie. Inaczej sobie nie poradzisz!” Ławice drobnych ryb, krążących tuż przy piaszczystym dnie, znaczącym się wyraźnie pod przejrzystą taflą wody, reagowały płochliwie na jej cień. Próbowała się dopatrzeć w prawie nieruchomym zwierciadle odbicia rysów twarzy przyjaciółki, ale ich tam nie znalazła.

— Żegnaj, najmilsza! — żal ścisnął jej krtań. — Na zawsze. Z tamtej strony się nie wraca!

Nietknięty ślizgacz stał na swoim miejscu. Oglądając go po wyjściu z lasu, wywnioskowała, że ukochana maszyna nie pasuje wyglądem do otoczenia. Swymi kształtami nie przystawała ani do zielonej murawy, ani do cichych zagajników i młodników, ani do gór, ani nawet do jasnoblękitnego nieba. Pojęła, że wcześniej czy później musi się jej pozbyć, ukryć ją lub zniszczyć, jeśli chce wytrwać przy zamierzonym scenariuszu, jedynym, jaki jej pozostał. Zgodnie z nim miała przecież odgrywać przed tubylcami rolę najprawdziwszej w świecie Y-otki.

Na razie jednak nie zamierzała jej nierozsądnie porzucać. Była przydatnym środkiem lokomocji, a zarazem bezpieczną sypialnią,